ALEX GRECIAN

SCOTLAND YARD

Londyn, 1889. Kuba Rozpruwacz rozpłynął się we mgle, ale inny seryjny morderca napełnia miasto grozą

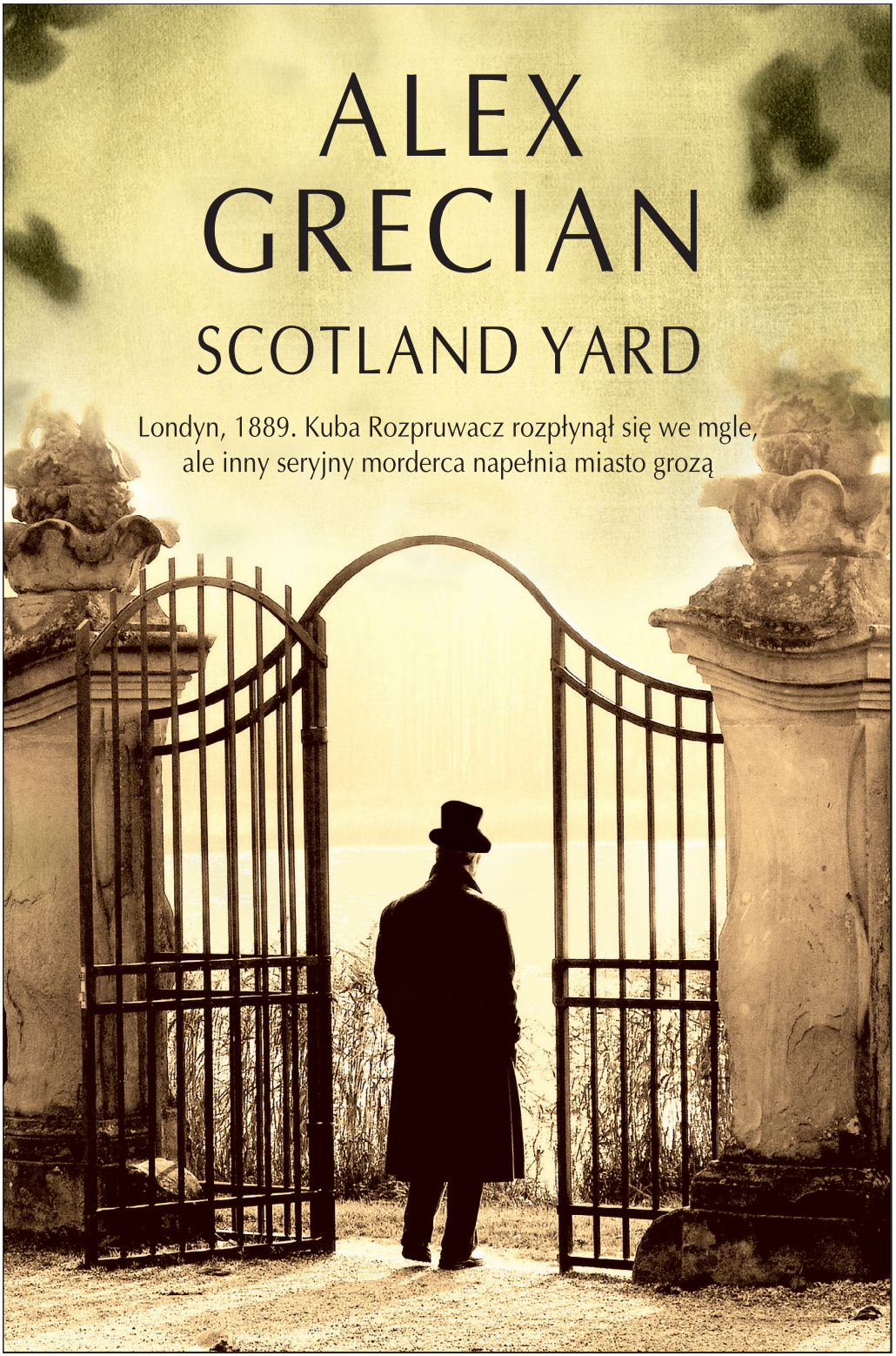

PROLOG

LONDYN, 1889

Nikt nie zauważył, że inspektor Christian Little ze Scotland Yardu zniknął, więc nikt go nie szukał, a jednak się odnalazł.

W nocy, o bliżej nieokreślonej porze, na dworcu Euston pojawił się czarny kufer podróżny. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Dopiero wczesnym popołudniem dnia następnego, po odjeździe pociągu o pierwszej, dostrzegł go bagażowy i otworzył, gdy okazało się, że takiego ciężaru nie udźwignie.

Natychmiast wezwał chłopca na posyłki i kazał mu sprowadzić policję.

Jako pierwszy zjawił się inspektor śledczy Walter Day, a po nim wielu szeregowych policjantów, nad którymi objął komendę. Day przybył do Londynu zaledwie przed tygodniem, po raz pierwszy znalazł się na miejscu zbrodni i wyraźnie się denerwował. Ale posterunkowi w niebieskich mundurach znali się na swojej robocie, więc do niczego nie był im potrzebny. Odsunąwszy zebranych wokół kufra gapiów, przystąpili do przeczesywania dworca w poszukiwaniu narzędzia zbrodni i ewentualnych śladów.

Godzinę później na dworzec wbiegł zdyszany doktor Bernard Kingsley i skierował kroki do gromadki ludzi zebranych na galerii przed kasą biletową. Kufer porzucono przy barierce odgradzającej peron. Przepchnąwszy się obok inspektora Daya, Kingsley ukląkł.

Wyjął z torby parcianą taśmę mierniczą i przesuwając ją między palcami, obmierzył kufer wzdłuż i wszerz. Był to typowy kufer, o wymiarach dwie na trzy na trzy stopy, czarny i błyszczący, zdobiony wzdłuż szwów cynowymi nitami. Lekarz zamknął wieko i przeciągnął po nim palcem. Czyste, ani śladu kurzu.

Ze szkłem powiększającym w ręku pośpiesznie obszedł kufer, badając stopień jego zużycia na rogach. Polizał palec i potarł szew w miejscu, gdzie czarną farbą zamalowano pęknięcie. Miał świadomość, że Day stoi mu nad głową, a mundurowi, nie tak natrętni, odpychają przy wyjściu nowych gapiów napływających z ulicy. Zbiegała się tylko biedota, wiecznie żądna sensacji — ludzie lepiej sytuowani żwawo mijali zbiegowisko, nie zwracając na nie uwagi.

Uporawszy się ze wstępnym badaniem, Kingsley kilkakrotnie otworzył i zamknął wieko, nasłuchując skrzypienia zawiasów, po czym opuścił je tak, by krawędzią dotknęło podłogi. Długo spoglądał do kufra, nie przejmując się odorem śmierci. Powiązane sznurem, złożone wpół zwłoki upchnięto w tej ciasnocie niczym nadmiar brudów do prania. Brakowało jednego buta — lekarz zakładał, że pewnie leży na dnie kufra, pod ciałem. Garnitur mężczyzny, z gabardyny, miał nieco wytarte brzegi, a w fałdy materiału wżarł się brud. Ręce i nogi były połamane i założone jedna na drugą.

Kingsley wyjął z torby szczypce i odsunął nimi rękę zabitego, by obejrzeć jego twarz. Perłowoszara cera, oczy i wargi zaszyte grubą nicią... Równoległe szwy na ustach

mężczyzny wyglądały jak podkłady na torach kolejowych. Lekarz spojrzał na Daya.

— Ustaliliście już jego tożsamość? — zapytał cicho, z powagą.

Inspektor zaprzeczył ruchem głowy.

— Był jednym z was — oznajmił Kingsley.

— Jednym z nas?

— To zwłoki śledczego. Inspektora Little'a.

Day cofnął się pod barierkę i uniósł ręce, jakby odpędzał niemiłe myśli.

— Niemożliwe. Rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem.

Kingsley zbył tę uwagę wzruszeniem ramion.

— Nie żebym panu nie wierzył — ciągnął Day. — Ale inspektor Little...

— Proszę podejść. Niech pan sam się przekona — rzekł lekarz.

Day wytrzeszczył na niego oczy.

— Prosiłem, żeby pan podszedł. Zapraszam.

— Tak, oczywiście.

Inspektor podszedł do kufra. Zanim zajrzał do środka, głośno przełknął ślinę.

— Niech pan oddycha przez usta — poradził lekarz. — Zapaszek nie jest przyjemny.

Day skinął głową, dysząc ciężko.

— Przypuszczam, że to inspektor Little. Ale co oni mu zrobili?

— To akurat widać gołym okiem. Pytanie brzmi: dlaczego?

— To nieludzkie.

— Obawiam się, że aż za bardzo ludzkie.

— Przetnijcie te sznury. Zdejmijcie mu to z twarzy. Na miłość boską, śledczy ze Scotland Yardu nie może leżeć związany jak, nie przymierzając, świąteczna gęś.

Jeden z mundurowych spojrzał w jego stronę. Na dworcu roiło się od ludzi, których nie obchodziło zabójstwo znalezionego w kufrze inspektora, a wyłącznie to, by mieli szansę go zobaczyć. W oczach posterunkowego Day zobaczył przestrach i zadumę nad tym, po co właściwie wykonuje tak niebezpieczną pracę, z którą wiąże się groszowa pensja i całkowity brak szacunku. W tej krótkiej chwili, widząc wyraz oczu kolegi po fachu, Day zrozumiał, że Londyn potrzebuje stróżów porządku publicznego, ale wcale o nich nie dba. Pojął też coś, z czego wszyscy policjanci na peronie już dawno zdali sobie sprawę — co oznacza odkrycie tych zwłok.

Przed rokiem, kiedy grasował Kuba Rozpruwacz, morale policji metropolitalnej sięgnęło dna i jak dotąd się nie podniosło. Akta morderstw w Whitechapel nie zostały zamknięte, śledztwo wciąż się toczyło, jednak nikt w Londynie nie wierzył, że policja zdoła ująć sprawcę. Kuba uciekł, a śledczy ze Scotland Yardu nawet na krok nie zbliżyli się do ustalenia jego tożsamości. Ta nierozwiązana sprawa stanowiła gorzkie memento, że nie są niezawodni, i wisiała nad nimi codziennie, kiedy wchodzili tylnym wejściem do gmachu komendy. Rozpruwacz nadal przebywał na wolności i wszystko wskazywało na to, że tak już zostanie.

Kingsley wstał i położył rękę na ramieniu inspektora.

— Z całą pewnością zrobię, co w mojej mocy, żeby doprowadzić inspektora Little'a do porządku — powiedział tak cicho, że jego głos był ledwo słyszalny. — Opłakiwać go będziemy w stosownym miejscu i czasie. A na razie musi pan się skupić na wymierzeniu sprawiedliwości. Niewykluczone, że zabójca nas obserwuje, więc pańskie zachowanie może mu podpowiedzieć, w jakim kierunku potoczy się śledztwo. Musi się pan zaprezentować jako człowiek silny i rzeczowy.

Day przytaknął ruchem głowy.

— A zatem do dzieła! — rzucił lekarz.

Złapał za uchwyt, uniósł kufer z jednej strony, lecz zaraz jęknął i go opuścił.

— Inspektorze, widać, że krzepki z pana człowiek. Zechciałby pan podnieść z tej strony?

— Gdzie mam go przestawić?

— Nie cały kufer, proszę tylko złapać za uchwyt i trochę go unieść.

Kingsley zdjął kapelusz i położył go na ławce pod przeciwległą ścianą. Następnie powiesił płaszcz na poręczy ławki i wrócił do Daya, który dźwignął kufer z jednej strony. Trudno o większy kontrast niż między tymi dwoma mężczyznami. Doktor Kingsley — niski i chudy — miał ostre rysy twarzy i strzechę rozczochranych, przedwcześnie posiwiałych włosów w odcieniu pasującym do szarych oczu. Inspektor Day — wysoki i barczysty — był zbudowany jak tur. Zaczesane do tyłu krótkie ciemne włosy odsłaniały jego wysokie czoło, na twarzy zaś malowała się gotowość niesienia pomocy, zupełnie jakby stale wypatrywał jakiejś staruszki, którą mógłby przeprowadzić przez ulicę. Nosił się z typową dla potężnych mężczyzn pewnością siebie, ale rysy twarzy miał delikatne, a z jego oczu wyzierał smutek. Kingsley uznał, że tego młodego śledczego po prostu nie sposób nie lubić.

— Da pan radę trochę wyżej? — spytał lekarz. — Tak lepiej.

Na czworakach wczołgał się pod kraniec kufra dźwiganego przez inspektora. Nie obawiał się, że Day upuści mu go na głowę. Tacy jak inspektor najpierw używają mózgu, a dopiero potem posługują się mięśniami. Mięśniami, które okazują się wielce przydatne.

Kingsley zbadał deski podłogi peronu, zaglądając w szczeliny w wiekowym drewnie wygładzonym podeszwami

butów niezliczonych rzesz podróżnych.

— Aha! — rzucił. Wygramolił się tyłem, a kiedy już wystawił głowę spod kufra, wstał, jedną ręką wygładzając kamizelkę na brzuchu, a drugą unosząc do światła ze złączonymi kciukiem i palcem wskazującym.

Day zmrużył oczy.

— To włos — powiedział.

— Nie, chłopcze. To nić. Trochę wystrzępiona w miejscu, gdzie została przecięta. O, tutaj. Widzisz?

— Czy to ta sama, którą zaszyto oczy i usta ofiary?

— Różnią się kolorem. Tamta jest czarna, a ta granatowa. Może to przypadek, może ktoś zgubił nitkę z płaszcza, ale nie sądzę. Myślę, że zabójca zaopatrzył się w nici w co najmniej dwóch różnych kolorach — oznajmił Kingsley. — Tylko po co?

Nagle padł na kolana. Ściskając w ręku szkło powiększające, które rzucało refleksy na peron, doczołgał się pod ścianę i zaczął macać długimi palcami tam, gdzie stykała się z deskami podłogi. Upłynęło kilka długich minut. W tłumie gapiów za balustradą narastało zniecierpliwienie. W końcu lekarz zaklął pod nosem i uniósł do światła palec, na którego czubku zebrała się kropla krwi. Uśmiechnął się. Zlizał krew z palca, po czym odwrócił lupę, by zdrapać jej twardą rączką brud ze ściany.

Wstał i szybkim krokiem wrócił do inspektora, który nadal unosił koniec kufra. Wyciągnął rękę, żeby Day mógł się przyjrzeć.

— Igły — rzekł inspektor.

Kingsley błysnął zębami w uśmiechu.

— Trzy igły, inspektorze. Trzy, chociaż wystarczyłaby jedna. Powiedziałbym, że nasz zabójca popełnił znaczący błąd. Proszę mi dać chusteczkę.

— Mam ją w górnej kieszeni marynarki?

— Tam jej nie widzę.

— Widocznie dzisiaj nie wziąłem.

Kingsley skinął głową.

— Wy tam — zwrócił się do najbliższego posterunkowego. — Macie chusteczkę?

Wysoki, chudy jak tyczka policjant oderwał wzrok od peronu — ani chybi lustrował ciżbę. Długie jak u kobiety rzęsy niemal całkiem zasłaniały jego jasne inteligentne oczy. Na dźwięk głosu lekarza lekko podskoczył.

— Jak się nazywacie? — zapytał Kingsley.

— Hammersmith, proszę pana.

— Sądząc po akcencie, jesteście z Walii?

— Tak jest.

— Obserwujecie gapiów?

— Bo ludzie się zdziwili, kiedy ten pan śledczy powiedział, że w kufrze jest inny policjant.

— Więc szukaliście w tłumie kogoś, kogo to nie zaskoczyło. Kogoś, kto z góry wiedział, że w kufrze znajdziemy inspektora.

— Tak jest.

— No i?

— Nic nie wzbudziło moich podejrzeń.

Kingsley kiwnął głową.

— Mimo to pomysł był bardzo dobry — pochwalił. — Od jak dawna jesteście w policji?

— Od dwóch lat, proszę pana.

— Dziwne, że nie poznaliśmy się wcześniej. Z ciekawością będę śledził waszą karierę. Ale, ale, pożyczycie mi chusteczkę?

— Ależ oczywiście.

— Dziękuję wam, Hammersmith.

Kingsley zerknął na podaną mu chusteczkę, a potem spojrzał na posterunkowego.

— Nie jest zbyt czysta — zauważył.

— Przepraszam pana. Pracuję na drugiej zmianie z rzędu, więc nie miałem czasu nic przeprać.

Istotnie, Hammersmith wyglądał niechlujnie. Jego niebieski mundur był wygnieciony, koszula wystawała ze spodni, mankiety nogawek miał zabłocone. Spoglądał z miną winowajcy, a jednak cała jego postawa świadczyła o wielkiej kompetencji.

— No cóż, dziękuję wam, Hammersmith. Postaram się zwrócić ją jak najszybciej.

— Dziękuję panu.

Kingsley zawinął igły w brudny materiał. Chusteczkę wraz z krótkim kawałkiem granatowej nici schował do kieszonki kamizelki, by zbadać je później.

— Ta sprawa to wyzwanie co się zowie — oświadczył.

Uśmiechnął się i po raz ostatni obrzucił wzrokiem peron, prawie nie zwracając uwagi na tłum gapiów.

— Cudownie — powiedział do śledczego. — Po prostu wspaniale. Może pan już go opuścić.

Day postawił koniec ciężkiego kufra na peronie i odetchnął z ulgą.

— Niech pan każe dwóm ludziom dostarczyć go na mój wydział — polecił Kingsley. — Chcę zbadać zwłoki Little'a, ale nie będę robił tego tutaj. Resztę policjantów proszę wysłać na peron, niech się dokładnie rozejrzą w poszukiwaniu lewego buta ofiary. Podejrzewam, że znajdziemy go w kufrze, ale nie zaszkodzi zagonić ich do roboty.

Lekarz wbił się w płaszcz, wziął kapelusz i odszedł. W połowie peronu zawrócił do wciąż stojącego w miejscu Daya. Nachylił się i tak cicho, żeby gapie nie mogli go usłyszeć, wyszeptał:

— Niech pan zamknie wieko kufra. Ta hałastra nie powinna się napawać widokiem martwego inspektora.

1

DWIE GODZINY PO ODKRYCIU ZWŁOK INSPEKTORA LITTLE'A

Sierżant Kett przez dłuższy czas rozglądał się po dworcu. Euston — stołeczna stacja końcowa pociągów linii londyńskich oraz Kolei Północno-Zachodniej — zawsze tętnił życiem. Codziennie przyjeżdżały tu setki pasażerów pragnących po raz pierwszy zakosztować uroków wielkiego miasta, gdy tymczasem londyńczycy uciekali do Liverpoolu, Birmingham, Manchesteru, Nottingham i wszelkich innych miejscowości położonych na tych trasach. Sierżant uważał za mało prawdopodobne, by zabójca inspektora Little'a pozostał na miejscu zbrodni... a mimo wszystko żywił cień nadziei, że wypatrzy tego rzeźnika. Stojąc na szczycie szerokich podwójnych schodów, spoglądał na południe, w kierunku olbrzymiej bramy zwanej Euston Arch. Przez świetlik w wysoko sklepionym suficie do obramowanej ciemnoczerwonymi kolumnami, okazałej hali wpadało światło słoneczne, migoczące na kamiennych płytach posadzki o metalicznym połysku. Jasnoniebieskie mundury dziesiątków policjantów odcinały się na tle szarości morza podróżnych i

bieli granitowych ścian dworca. Obecność na peronach tak wielu posterunkowych, z początku sensacyjna, z czasem spowszedniała wobec natłoku pasażerów pragnących dojechać na czas do celu podróży.

Przez masywną bramę napływali irlandzcy robotnicy, żołnierze na przepustce i umorusane dzieci, wysyłane do dalekich krewnych. Za szeroką zieloną markizą nad wejściem stopniowo rozwiewała się poranna mgła, ale widoczność wciąż była słaba i Kettowi niewiele udało się zobaczyć z tego, co działo się przed dworcem. Lubił tę wirującą szarość, która mogła skrywać jakieś niespodzianki.

Lustrował spojrzeniem tłum, podczas gdy za jego plecami krzątali się posterunkowi.

Lekarz udający się z rodziną na wakacje kurczowo przyciskał do piersi czarną torbę; loki jego misternie utrefionej brody rozprostowały się w duchocie panującej na zatłoczonym peronie. Próbowała za nim nadążyć ładna żona, a dalej pielęgniarka i mały chłopczyk. Wszyscy byli wymęczeni i zdenerwowani.

Przy jednym z punktów zbornych dwie dziwki podpierały ścianę. Kett podchwycił ich wzrok i szybkim ruchem głowy dał znak, żeby się wynosiły. Mijając go, uśmiechnęły się.

— Zawsześmy lubiały mężczyzn z taką gęstą brodą — zagadała do niego niższa.

— To takie męskie — dorzuciła druga, ładniejsza. O dziwo, z długą blizną, biegnącą od nasady włosów na czole do szyi, wydawała się bezbronna, co tylko przydawało jej atrakcyjności.

— Zmykajcie stąd — polecił sierżant.

— Szkoda.

I rozpłynęły się w ludzkiej ciżbie.

Prostytucja była, oczywiście, nielegalna. Tym dwóm dzierlatkom nie brakowało tupetu, skoro uprawiały swój

proceder o tak wczesnej porze i w miejscu tak publicznym, ale były też na swój sposób dzielne. Aresztowanie ich nic by zresztą nie dało, jeszcze tego samego dnia urzędowałyby tu z powrotem.

Kett pokręcił głową. Mordercy, złodzieje, kurwy, kanciarze... wszyscy oni zlewali się z najrzadszym gatunkiem: uczciwymi obywatelami. Mógłby do wieczora przyglądać się tłumom na Euston Street, a za nic nie odróżniłby tych porządnych od tych godnych potępienia.

Odwrócił się i patrzył, jak jego ludzie wykonują swoją pracę.

W Scotland Yardzie panowała zgoła niezwykła hierarchia — nikt nie był wyższy stopniem od innych. Inspektorzy śledczy specjalizowali się w zbrodniach określonego typu: to im przydzielano najbardziej czasochłonne sprawy. Posterunkowi — Kett nigdy nie nazywał ich mundurowymi, choć nazwa ta przyjęła się u większości społeczeństwa — zajmowali się codziennymi wykroczeniami w Londynie i podczas obchodów zapoznawali się z dzielnicą oraz jej mieszkańcami, zawsze mając na celu zduszenie problemu w zarodku, zanim urośnie do takich rozmiarów, by zwrócić uwagę śledczych. Z kolei sierżanci, wśród nich Kett, zapewniali wsparcie zarówno posterunkowym, jak i inspektorom, pilnując sprawnego przepływu informacji w całej policji, by każdy pracował z maksymalną wydajnością.

Kett był dumny ze swoich posterunkowych. Czasami czuł, że musi krążyć pośród nich, wykrzykiwać rozkazy i pilnować, żeby każdy robił, co do niego należy, dziś jednak, w obliczu powagi popełnionej zbrodni, niebiescy sztuka w sztukę uwijali się jak w ukropie. Wyglądało na to, że zwłaszcza posterunkowy Hammersmith ma niespożyte siły. Kett był ciekaw, kiedy ostatnio ten młody człowiek się przespał. Świadom tego, że Hammersmith nie zszedł ze służby co najmniej od dwóch

zmian, zakonotował w pamięci, że należy go wysłać do domu, by odpoczął, zanim padnie ze zmęczenia.

Nowy inspektor, Day, sprawiał wrażenie, że nadaje się do tej roboty, ale Kett niewiele o nim wiedział. Sierżanta nieco martwiła otaczająca inspektora aura niewinności. Widywał już, jak idealiści rzucają ten fach — miasto szybko pozbawiało ich złudzeń. Nie wiedział, czy Day utrzyma się w Scotland Yardzie, zamierzał jednak zrobić, co w jego mocy, by inspektor zachował stanowisko. Nowy śledczy miał w sobie coś tak niezwykle sympatycznego — jakieś poczucie obowiązku połączone z ciekawością — że istniały szanse, by zaszedł bardzo wysoko.

Nie wszyscy pracujący wokół złowróżbnego kufra na dworcu byli pod nadzorem sierżanta. Wyjątek stanowił doktor Kingsley, ponieważ oficjalnie nie służył w policji metropolitalnej, czyli w Scotland Yardzie. Na co dzień pracował w laboratorium w podziemiach Szpitala Uniwersyteckiego; stanowisko lekarza medycyny sądowej stworzył dla siebie dlatego, że uważał je za niezbędne. Do czasu gdy przejął władzę nad policyjną kostnicą, medycyna sądowa w zasadzie nie istniała. Zwłoki zwożono do marnie zarządzanych magazynów, w których ginęły albo popadały w zapomnienie. Ten nieduży człowieczek był dziwakiem; policjanci omijali go szerokim łukiem, lecz jego pomoc była nieoceniona i wśród śledczych cieszył się prawdziwym szacunkiem.

Jeżeli zabójca inspektora miał choć trochę oleju w głowie, wskoczył do porannego pociągu i był już daleko stąd.

A jednak Kett pozwolił sobie na surowy uśmiech. Owszem, Kuba Rozpruwacz im się wymknął, lecz nauka nie poszła w las. Sierżant głęboko wierzył, że jeśli zabójca Little'a jest na tyle zuchwały albo bezczelny, by pozostać w Londynie, to ci

ludzie go znajdą i postawią przed obliczem sprawiedliwości.

⅄ ⅄ ⅄

Łysy mężczyzna stał na skraju tłumu, patrząc, jak sierżant Kett wraca na galerię. Szorstki stary policjant zerknął na niego, ale nic nie wskazywało na to, żeby go rozpoznał.

Doktor Kingsley bez słowa minął sierżanta na schodach, po czym opuścił dworzec, przechodząc pod łukiem po przeciwnej stronie gmachu. Łysy nie spotkał jeszcze tego lekarza, ale słyszał, jak policjanci rozmawiali między sobą o trzymającym się na uboczu patomorfologu. Z tego, co o nim mówiono, Kingsley był dobry. Aż za dobry. Łysy mężczyzna żałował, że nie wie, co lekarz szepnął temu ciemnowłosemu młodemu śledczemu.

Tymczasem po drugiej stronie peronu tenże młody śledczy zmarszczył czoło i ruchem ręki przywołał dwóch najbliższych mundurowych.

— Natychmiast dostarczcie ten kufer do Szpitala Uniwersyteckiego — polecił. — Do laboratorium doktora Kingsleya. Tylko obchodźcie się z nim ostrożnie. W środku znajdują się zwłoki inspektora.

Powiedział to zbyt głośno, więc tłum zareagował jękiem. Łysy mężczyzna zadbał o to, by jego mina wyrażała ten sam szok, który malował się na twarzach pozostałych gapiów. Ludzie, i tak już spóźnieni po przerwie do pracy, rozprawiali między sobą, z bezpiecznej odległości dzieląc się nowinkami o odkryciu i niebezpieczeństwie.

Dwóch policjantów z wysiłkiem dźwignęło kufer. Łysy rozpoznał jednego z pozostałych, młodego posterunkowego nazwiskiem Pringle. Uniósł rękę, na co Pringle, zauważywszy go, skinął głową i wskazał względnie pusty skraj peronu. Łysy szybko przecisnął się przez tłum i dołączył tam do niego.

— Uszanowanie panu — rzekł posterunkowy. — Kiepska sprawa, i to od samego rana.

— Słyszałem to i owo — odparł łysy mężczyzna. — Śledczy?

— W kufrze. — Pringle skrzywił się i pokiwał głową. — Przynajmniej tak twierdzi inspektor. Po mojemu źle to wygląda dla nas wszystkich. Zabójstwo śledczego...

— Ktokolwiek to zrobił, z pewnością go złapią. Złapią go od razu, nie sądzicie?

— Mam nadzieję, proszę pana. Oby.

— A kim jest ten człowiek na peronie? Czy on tym wszystkim dowodzi?

Pringle obejrzał się przez ramię na taszczących rozkołysany kufer posterunkowych, za którymi szedł śledczy.

— To Day, proszę pana. Inspektor śledczy Day. Dołączył do nas ledwie w zeszłym tygodniu. Zdaje się, że przyjechał z Devonu. Jestem pewien, że nie miał pan jeszcze okazji go spotkać.

— Day, powiadacie?

— Na imię ma William. William albo... Nie, Walter. Walter Day. Na pewno.

— Jest dobry?

— Tego to ja już nie wiem, proszę pana, ale mam nadzieję, że się nadaje do tej roboty. Nie można pozwolić, żeby ktoś bezkarnie kosił śledczych. Bo potem weźmie się taki za nas, pracujących na ulicy. Nie wolno do tego dopuścić.

— Ależ oczywiście, że nie.

— Kiepska sprawa — powtórzył Pringle.

— No cóż, nie zabieram wam więcej czasu. Wiecie, praca czeka.

— Oczywiście.

— Nie martwcie się, Pringle. Jestem pewien, że wasz nowy inspektor spisze się na medal.

Posterunkowy skinął głową.

— Ano, pewnikiem tak. Ale to i tak kiepska sprawa.

— Istotnie. Życzę powodzenia.

Łysy mężczyzna postawił kołnierz płaszcza i opuszczając gmach dworca, zerknął na niebo, po którym pędziły szare chmury. Gdy tylko lunie deszcz, gapie zaczną się rozchodzić, a nie chciał utknąć w ludzkiej ciżbie.

Szybko przeszedł na drugą stronę ulicy, omijając świeżą porcję końskiego łajna i mamrocząc pod nosem nazwisko śledczego. Należy mieć oko na inspektora Waltera Daya.

Bardziej palący problem stanowił jednak doktor Kingsley. Lekarz pokazał coś inspektorowi Dayowi, ale łysy mężczyzna stał zbyt daleko, by zobaczyć, co to jest. Czyżby zostawił jakiś ślad?

Łysy żałował tego, co się stało. Podziwiał policję metropolitalną — podziwiał ją i starał się jej pomagać w miarę swoich skromnych możliwości. Niestety, inspektor Little przypadkiem odkrył jego sekret, więc nie dał mu wyboru.

Kingsley i Day. Łysy mężczyzna jeszcze raz powtórzył pod nosem ich nazwiska i splunął na ubitą nawierzchnię ulicy. Musi mieć oko na tych dwóch. Jeżeli oni również odkryją jego tajemnicę... Pokręcił głową, na razie wolał o tym nie myśleć. Będzie obserwował postępy śledztwa, więc jeśli inspektor Day za bardzo zbliży się do prawdy... No cóż, Day może po prostu zniknąć.

⅄ ⅄ ⅄

Posterunkowy Pringle strzepnął ze spodni nieistniejący kłaczek i poprawił mankiety odprasowanej krochmalonej koszuli. Uświadomił sobie, że chciał o coś zapytać mężczyznę, z którym właśnie rozmawiał, więc spojrzał za nim na drugą stronę ulicy, ale zobaczył tylko plecy rozchodzących się

gapiów. Trudno — będzie musiał zajść do niego później.

Odwrócił się i pośpieszył na peron. Posterunkowi Hammersmith i Jones mozolnie taszczyli rozkołysany kufer.

— Ej, Nevil! — rzucił Pringle. — Nie wybrałbyś się ze mną? Mam coś do załatwienia.

Nevil Hammersmith spojrzał na niego i jęknął.

— Zależy, jak długo nam zejdzie u doktora Kingsleya — odparł. — Jeśli nie dostaniemy od niego żadnych poleceń, schodzę ze służby, ale mam za sobą ciężką noc, Colin.

— To nie potrwa długo, a przydałoby mi się towarzystwo. Wiesz, trochę się denerwuję.

Hammersmith zachichotał i złapał uchwyt kufra drugą ręką.

— Całkiem zapomniałem, chłopie, żeś się umówił z Maggie na wieczór.

— To tylko kolacja, nic więcej.

— No proszę, jakiś ty skromny. Czy słusznie zakładam, że wrócisz raczej późno? Nie będę na ciebie czekał, ale obudź mnie, gdybyś dotarł dopiero nad ranem. Zgoda?

Pringle nabzdyczył się teatralnie.

— Nad ranem? Czuję się zgorszony, drogi panie. Poza tym kalasz pan dobre imię Maggie.

— Zjeżdżaj, Pringle — burknął Jones. — Hammersmith pracuje.

Pringle pogroził mu palcem, ale odszedł czym prędzej, żeby nie zdążyli go poprosić o pomoc przy kufrze. Nie chciał sobie utytłać nowej kurtki. Złapie Hammersmitha w szpitalu, zanim wpadnie do krawca.

Przed oczami stanął mu inspektor Little leżący na dnie kufra, połamany i okaleczony, lecz szybko odgonił ten obraz. Zanim Day zamknął wieko, zdążył zerknąć na martwego śledczego, i nic więcej nie było mu trzeba. Nie znał inspektora zbyt dobrze. Little nigdy na niego nie patrzył, półgłosem wydawał

mu tylko rozkazy. Niewątpliwie w trakcie śledztwa na coś wpadł i przez to zginął. Ale jego, Pringle'a, nigdy to nie spotka. On wstąpił do służby wyłącznie dla szykownego munduru, na który leciały ładne dziewczęta. Nie wtykał nosa w sprawy śledczych.

Z uśmiechem wyszedł na ulicę, gdzie od razu wdepnął w końskie łajno.

2

Kiedy inspektor śledczy Walter Day zjawił się pod numerem czwartym przy Whitehall Place, tańczący mężczyzna zdążył już zająć swoje miejsce w pobliżu wejścia. Day nie posiadał się ze zdumienia, że jak dotąd tancerzowi udawało się uniknąć zamknięcia w przytułku, swego czasu odwiedził jednak ten przybytek i dopóki to możliwe, nikogo nie zamierzał tam zsyłać. Tańczący mężczyzna, co najmniej o głowę wyższy od Daya, z wielkimi dłońmi i stopami, budził przestrach, ale trzymał się z dala od ludzi i kłaniał się, zanim przemówił. Na swój sposób starał się zarabiać na chleb. Inspektor, uważający się za znawcę ludzkiej natury, widział w nim coś wzruszającego. Dzisiaj tancerz znalazł ułamany kij od miotły i wymachiwał nim dumnie, wirując na przewróconej skrzyni po mleku i śląc całusy przechodniom. Day rzucił mu półpensówkę, po czym wszedł do środka.

Komenda główna policji metropolitalnej mieściła się na tyłach wielkiego budynku przy Great Scotland Yard, więc powszechnie powiadano, że wchodzi się do niej tylnym wejściem, mimo że frontowe, od strony ulicy, nie istniało. Day skinieniem głowy pozdrowił dyżurnego sierżanta za biurkiem małej recepcji, po czym skręcił w krótki korytarz.

Główne pomieszczenie na parterze podzielono na kilka sekcji. Kiedy Day wszedł tam z korytarza, po prawej ręce miał największą część, do której najłatwiej było się dostać postronnym. To tutaj urzędowała większość śledczych policji metropolitalnej oraz mrowie posterunkowych. Wszyscy uwijali się w dzień i w noc, próbując uporać się z natłokiem spraw obejmujących włamania, napady, prostytucję, przypadki osób zaginionych, a także rozboje z bronią w ręku.

Day nawet nie zerknął w ich kierunku, lecz skręciwszy w lewo, minął rząd wspólnych biurek, przy których policjanci w obecności adwokatów przesłuchiwali podejrzanych, a następnie odstawiali ich do ogrodzonego murem aresztu. Przeszedł przez wahadłowe drzwi w niskim drewnianym przepierzeniu i znalazł się we wspólnym biurze wydzielonym dla wybranej grupy inspektorów śledczych, zwanej przez pozostałych policjantów Brygadą Zabójstw.

Wcześniej śledczy prowadzący dochodzenia dotyczące morderstw zajmowali te same wspólne biurka co posterunkowi z patroli. Jednak sprawa Kuby Rozpruwacza zmieniła ten stan rzeczy. Zamontowano przepierzenie, wstawiono tuzin nowych biurek i usadzono przy nich tuzin najlepszych śledczych Scotland Yardu, którym przydzielono wszystkie morderstwa popełniane na terenie Londynu.

Nie zwolniono ich jednak z obowiązku zajmowania się wieloma innymi sprawami, nad którymi pracowali do tej pory.

Day powiesił płaszcz i kapelusz na kołku w ścianie naprzeciw wejścia, po czym zasiadł przy swoim biurku w środkowej części dużej sali. Wokół panowała cisza. Inspektor nie czuł się tu swobodnie; jak dotąd nie postawił nawet na biurku nic osobistego, przekonany, że i tak wkrótce odeślą go z powrotem do Devonu, kiedy okaże się, że nie ma uzdolnień wymaganych od śledczego. Wcześniej był dobrym

posterunkowym — pełnym energii, silnym i zawsze gotowym do służby — ale praca dochodzeniowa miała w sobie coś, co go zniechęcało. Pamiętał wzrok, jakim doktor Kingsley obrzucił go na dworcu. Był pewien, że lekarz doskonale wie, iż Day nie nadaje się do tej roboty... że wiedzą o tym wszyscy z wyjątkiem Claire.

Od identycznego biurka na środku wielkiej sali pomachał mu ręką Michael Blacker. Biurko inspektora Blackera było zagracone, wszędzie piętrzyły się papiery, spod albumu z wycinkami wystawały czajnik oraz lewy but. Od trzech dni inspektor ślęczał nad dowodami rzeczowymi z kilku dziwacznych spraw.

— Dzień jak co dzień, nieprawdaż, Day*? — rzucił.

Uwielbiał kalambury i gierki słowne, które Day uważał za wyjątkowo nużące.

— Blacker, kiedy ostatnio widziałeś inspektora Little'a? — spytał Day.

— Little'a? Jakoś tak wczoraj. Za wiele nie pogadaliśmy, rozumiesz, bo Little** miał mało do powiedzenia. Łapiesz?

— Łapię. Pewnie nie wiesz, czym się teraz zajmował?

— Niby skąd? A bo to nie mam co robić z wolnym czasem?

Day skinął głową. Znał odpowiedź na to pytanie, zanim jeszcze je zadał. W ciągu ostatniego miesiąca z Tamizy wyłowiono ciała dziewięćdziesięciu sześciu osób, z których ponad połowie poderżnięto gardła. Tak wielka liczba zwłok nie należała do rzadkości w mieście, w którym rocznie aresztowano ponad sześćdziesiąt tysięcy przestępców. Dwunastu inspektorów Scotland Yardu nie miało czasu uporać się z własnymi śledztwami, a co dopiero mieszać się w cudze.

---

* *Day* (ang.) — dzień.
** *Little* (ang.) — mały, mało.

A teraz, kiedy zabrakło Little'a, zostało ich jedenastu. W tej części wspólnej sali tylko dlatego panowała cisza, że poza Dayem i Blackerem wszyscy inni byli w terenie, zwalczając przestępczość w Londynie.

— Muszę przeczytać akta jego spraw.

— Wątpię, żeby mu się to spodobało. Zaczekaj na niego. Niedługo powinien się zjawić.

— Dzisiaj nie przyjdzie.

Z gabinetu w rogu wyszedł pułkownik sir Edward Bradford i skinął swoją jedyną ręką.

— Day. Zajrzycie do mnie?

— Tak jest.

Nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenie Blackera, Day zapuścił się w labirynt biurek. Gabinet sir Edwarda był mały, ciemny i zagracony ciężkimi meblami. Na ścianie za biurkiem wisiał wypchany łeb tygrysa, jedyna wystawiona na pokaz pamiątka z czasów pobytu sir Edwarda w Indiach. Komisarz policji zamknął drzwi i wskazał wolne krzesło.

Kiedy obaj usiedli, sir Edward pogłaskał siwą brodę i zamknął oczy.

— Jak długo u nas jesteście, Day? — zapytał.

Stało się, inspektor nie miał co do tego wątpliwości. Sir Edward doszedł do wniosku, że młody człowiek nie jest stworzony do zawodu śledczego, więc zamierzał go odesłać do Devonu. Day przyjąłby to z ulgą, nie wiedział tylko, jak wytłumaczy się żonie. Claire będzie nim bardzo rozczarowana.

— Prawie tydzień, panie komisarzu.

— Musicie wiedzieć, Day, że obejmując to stanowisko, liczyłem na możliwość współpracy z legendarnym inspektorem Marchem, najznakomitszym śledczym w najlepszej policji na świecie. Wyobrażacie sobie moje rozczarowanie, kiedy po przyjeździe do Londynu dowiedziałem się, że inspektor March

właśnie złożył rezygnację ze służby w Brygadzie Zabójstw.

Dzięki długiej i wspaniałej karierze inspektor Adrian March został jednym ze śledczych nadzorujących poszukiwania Kuby Rozpruwacza. Nie zdołał jednak ująć przebiegłego zabójcy co najmniej pięciu kobiet, o czym społeczeństwo świetnie wiedziało. Wystąpił więc z policji, przechodząc na wcześniejszą emeryturę. Sprowadzony na jego miejsce Day wciąż nie rozumiał, czemu to zawdzięcza.

— Tak jest — przytaknął.

— Przypuszczam, że podzielacie moje rozczarowanie.

— Tak jest.

— A więc straciłem szansę na współpracę z wielkimi śledczymi Scotland Yardu, jak Adrian March, Dick Tanner i Frederick Abberline. W zamian dostałem pana.

— Najmocniej przepraszam, panie komisarzu.

Day unikał spojrzenia przełożonego. Sir Edward budził postrach. Objął posadę komisarza policji zaledwie miesiąc przed przyjazdem Daya, a już zyskał najgłębszy szacunek podwładnych. Brał udział w tłumieniu powstania sipajów, o którym Day wiedział tyle co nic, a rękę stracił podczas spotkania z tygrysem. Niewykluczone, że był to ten sam tygrys, którego łeb spoglądał teraz z deski przybitej do ściany gabinetu. Powiadano, że podczas zabiegu amputacji okaleczonej ręki sir Edward odmówił przyjęcia środków znieczulających.

— Nie ma powodu do przeprosin. Nie udzielam wam reprymendy, inspektorze Day. Pragnę tylko realnie ocenić sytuację, a nie kluczyć, jak to jest tutaj w zwyczaju. Macie niewielkie doświadczenie w policji, zgadza się?

— Cztery lata służyłem w Devonie w stopniu posterunkowego, panie komisarzu.

— Wiem o tym. Ale w Londynie zamieszkaliście dopiero kilka dni temu.